

ARSOYL.

TEATR DRAMATYCZNY

m. st. Warszawy

**Tadeusz
Różewicz**

NA CZWORAKACH

TEATR DRAMATYCZNY
M. ST. WARSZAWY

**Tadeusz
Różewicz
NA CZWORAKACH**

Tragikomedia
z muzyką STANISŁAWA
RADWANA

*Opracowanie dramaturgiczne
i reżyseria:*

JERZY JAROCKI

Scenografia:

KAZIMIERZ WIŚNIAK

Choreografia:

JERZY MAKAROWSKI

Dyrektor

i kierownik artystyczny teatru:

JAN BRATKOWSKI

Wicedyrektor:

MIECZYSLAW MARSZYCKI

Kierownik literacki:

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

premiera w marcu 1972 r.

O S O B Y :

Laurenty	ZBIGNIEW ZAPASIEWICZ
Pudel	JÓZEF NOWAK
Sitko	ZBIGNIEW KOCZANOWICZ
Racapan	ANDRZEJ SZCZEPKOWSKI
Pelasia	RYSZARDA HANIN
Dziennikarka	MIROŚŁAWA KRAJEWSKA
Hermafrodyt	TADEUSZ BARTOSIK
	{ HENRYK CZYŻ
	{ WOJCIECH DURYASZ
Panowie, Dekoratorzy, Milicjanci, Grabarze	{ JAN GAŁECKI
	{ JAROSŁAW SKULSKI
	{ RYSZARD SZCZYCIŃSKI
Milicjantka	KRYSTYNA MIECIKÓWNA
Dzieci	* * *

Udało się

Janek ma rok
chodzi na czworakach
pewnego dnia
patrzę
a on stoi
na dwóch nóżkach

no — myślę z-ulgą —
znów się udała ta sztuczka
naszej starej ludzkości.

Laurenty



Jan Kłossowicz

NIE na czworakach

W dramaturgii Różewicza można wykreślić linię biograficzną a nawet po trosze autobiograficzną skupioną wokół postaci Człowieka, współczesnego Everymana, który jest także i samym autorem. Jest uczestnikiem, a zarazem złośliwym i mądrym komentatorem toczących się wokół niego wydarzeń. Stanowi kontynuację „podmiotu lirycznego“, bo z poezji przecież wyrasta teatr Różewicza. Po raz pierwszy pojawił się ten bohater w *Kartotece*, ale najbardziej wyraźnie zarysowała się jego sylwetka w *Mojej córeczce*, *Śmiesznym staruszku*, *Śmierci w starych dekoracjach* i *Na czworakach*. W *Kartotece*, jest on (celowo zresztą) zupełnie nieokreślony. W *Mojej córeczce* jest podstarzałym nauczycielem, który dorabia na życie odczytami w Towarzystwie Krzewienia Kultury Świeckiej. Nota bene, nosi on tam przenicowany garniatur — z kieszonką po prawej stronie, identyczny, jaki

nosił niegdyś sam Różewicz... W *Staruszku*, bohater żyje wspomnieniami i buduje sobie sztuczny świat — niejako projekcję najintymniejszych, najbrudniejszych i najciemniejszych zakamarków swojej duszy. W *Śmierci w starych dekoracjach* jedzie on, nie wiadomo dlaczego, do Włoch (można przypuszczać, że otrzymał jakieś „stypendium“), ale jedzie tam po to, żeby umrzeć w „starych (teatralnych) dekoracjach“. Wreszcie w *Na czworakach*, jest on poetą i dramaturgiem, który wprost mówi o swojej i cudzej twórczości.

Biograficzny nurt w twórczości Różewicza wydaje istotne konsekwencje. Zdaje się prowadzić go ku jakiemuś nowemu gatunkowi literatury, który nie jest ani prozą, ani dramatem, ani scenariuszem. Jest przede wszystkim monologiem. Może właśnie w tym kryje się ów najbardziej ukryty pokład jego pisarstwa, to marzenie o teatrze „wewnętrzny“ wyrażone w zakończeniu *Przyrostu naturalnego*, kiedy Różewicz cytuje Conradowskiego Lorda Jima, i dodaje: „... dla mnie cały prawdziwy dramat Jima rozegrał się w dość podłej, jarmarcznej scenerii, pełnej zgiełku sali sądowej... W przejściu. Na korytarzu. Ktoś krzyknął na parszywego psa przybędę... A Jim pomyślał, że to chodzi o niego. «Czy pan do mnie mówił? — spytał Jim bardzo cicho...» to jest dla mnie najbardziej tragiczny moment w życiu Lorda Jima. W tym jest cały dramat jego życia. W tym, w tej scenie, są elementy teatru «wewnętrznego», o którym myślę i mówię“.

Czy jednak „Teatr wewnętrzny“, ukryty, manifestujący się przypadkiem — „na korytarzu“, „w dość podłej, jarmarcznej scenerii“, teatr intymny i ulotny, czy taki teatr musi przybierać formę monologu, który teoretycy od dawna nazywają właśnie wewnętrznym?

Różewicz nie porzuca przecież dramatu dla Faulknerowskiego monologu, ani dla czystego opisu. Ale nie zmienia się też w scenarzystę, który tworzy wyłącznie z myślą o inscenizatorze, który z góry skazywałby się na objęcie roli dostarczyciela „materiału“. Waha się pomiędzy dwiema skraj-

nościami, z których pierwsza prowadzi poza teatr — ku literaturze obojętnej wobec sceny, a druga każe całkowicie zapomnieć o ambicjach literackich, zamieniając dramaturga, już może nie w scenarzystę nawet, ale w autora „pomysłu”. Różewicz ostatecznie nie wybiera żadnej z tych możliwości. Wybiera dramat. Nie chce rezygnować ani z teatru, ani z literatury. Chce pozostać dramaturgiem. Jeżeli ma umierać, to w teatralnych dekoracjach. Dlaczego?

Może dlatego, że Różewicz wierzy, że można napisać przy biurku cały dramat, który właśnie tak, jak został napisany, ukaże się potem na scenie. Wierzy, że sztuka teatralna wcale nie musi być „materiałem”, „scenariuszem”, „pomysłem”, żeby stać się godna współczesnej sceny. Może być od początku do końca pomyślana i opisana, a inscenizator może adekwatnie zrealizować w teatrze jego myśli. Utwierdza Różewicza w tym przekonaniu prawdopodobnie także i to, że znalazł on nie „jakiegoś przypadkowego reżysera”, ale „swojego” inscenizatora. Nie doczekał się powstania „swojego” teatru, ale spotkał w teatrze kogoś, kto potrafi wystawiać jego sztuki, a nie własne pomysły...

Różewicz chce pozostać dramaturgiem. Niezależnie od tego co sądzi o (prawie) wszystkich reżyserach i wszystkich recenzentach świata. W trzy lata po *Starej kobiecie* napisał „tragikomedie” *Na czworakach*. Jest to sztuka w jego twórczości bardzo ważna. Z dwóch powodów. Po pierwsze, stanowi ona zamknięcie i ostateczne rozwiązanie przewijającego się od *Kartoteki* wątku biograficznego. Po drugie, jest w niej zawarte rozliczenie się z tym, co Różewicza w jego własnej twórczości najbardziej drażniło i nie dawało mu spokoju, z tym, co nazywamy groteską i teatrem absurdu. Wiąże się z tym ściśle wspomniany wyżej wątek biograficzny. Różewicz ostatecznie demaskuje tu, czy określa, swojego bohatera — pokazuje w nim — Poetę, pisarza, człowieka — zapracowanego, pełnego kompleksów, urazów i słabości, a jednocześnie świadomego własnej siły i przekonania o wartości czy potrzebie tego co robi. Pokazuje też, jak pisarz za



życia opatrzoney etykietką, wepchnięty na postument i schowany pod nagrobkiem, buntuje się przeciw temu. Buntuje się — udając błazna. Chodzi na czworakach i wygrywa innym na nosie.

Jest w tym wiele i z własnej biografii Różewicza. Pamiętam, jak szesnaście lat temu, poczciwa nauczycielka polskiego urządziła w mojej klasie lekcję poświęconą współczesnej poezji, gdzie między innymi wiersze Różewicza służyły jako przykład wynaturzenia i wszelakich awangardowych szaleństw. Dzisiaj jego wiersze trafiły do wypisów szkolnych. I dzisiaj też, jego dowcipy, jego wygłupy, jego przekorne i złośliwe błazeństwa zawarte w dramatach, są brane serio. Wielu inscenizatorów w nich widzi jedyną treść sztuk Różewicza. Wystawiają oni jego sztuki jak fajerwerki, jak czyste teatralne pomysły, jak preteksty dla własnych pomysłów. A pod tą mieniącą się papuzimi kolorami powierzchnią, gdzieś w głębi ukrywa się — zrzadka wychodząc na wierzch w najlepszych inscenizacjach — ów wewnętrzny teatr Różewicza. Ten teatr poetycki i realistyczny zarazem, o którym on sam przekornie, ale i szczerze mówi, że nie wie jak go naprawdę tworzyć.

Różewicz wyraźnie stwierdza w swojej „tragi-komedii“, że trzeba wyjść poza absurd i groteskę, ale i tutaj nie pokazuje ostatecznie, jak to należy zrobić. Wie, że trzeba koniecznie przebić zasłone utkaną z deformacji, destrukcji, parodii. Wie, że trzeba zacząć pisać serio, że trzeba zacząć teraz, na nowo, po oczyszczającej kąpeli, po zredukowaniu wszystkiego do zera, że trzeba opisywać świat i ludzi, a nie własne wymyślane konstrukcje. Zdaje sobie sprawę z tego, że dramaturg musi spróbować uczynić swoją sceną — świat, a nie zamknięty kulisami, sznurownią i rampą — czworobok. Że trzeba wadzić się, spierać i pogodzić na nowo, z theatrum mundi, a nie z teatrem. Że tylko dramaturg, który zdobędzie się na nowe, prawdziwe i rzeczywiście w swojej nowej formie — wielkie i głębokie opisanie świata i człowieka — może ponownie opanować teatr. Jeśli się na to nie zdo-

będzie, nadal musi udawać błazna i być dostawcą „materiału” dla reżyserów.

Na ile te dowody prawdziwej wielkości prawdy są już zawarte w opublikowanych dotąd, pokrętnych, wielowątkowych i wieloznacznych dramaturgicznych maszynach Różewicza osądzić będzie można za wiele lat.

Bóg zresztą raczy wiedzieć, co on jeszcze napisze, co już sobie wymyślił, co już może — napisał. Bo Różewicz nie tylko buduje swoją przedziwną maszynę teatralną, ale przede wszystkim — gotuje zupę. Występujące w jego utworach różne zupy są odbiciem jego własnej „metody twórczej”. Różewicz pod tym względem przypomina owego samotnika, posiadającego wielki sagan, w którym raz, na początku namieszał różnych ingrediencji, a potem w miarę potrzeby — wyjmował coś, spożywał, i zaraz dodawał — to pietruszki, to fasoli, to mięsa, to pieprzu. Od lat gotuje tę swoją zupę, a raczej swój bigos, gęsty, zawieszisty, bardzo własny i bardzo polski, w którym mięsa jest więcej niż kapusty, a wody nie ma prawie wcale. W tym Różewiczowym bigosie wiele jest pomysłów dotąd niezrealizowanych, z których tylko trochę wyjął on i włożył do swoich sztuk. Niektóre tkwią tam przez wiele lat. Inne są zastępowane przez nowe. Jeden z takich pomysłów, to powstałe w roku 1966, i opublikowane ostatnio w *Odrze* „opisanie dramaturgii“ sztuki *Straż porządkowa*. To niezrealizowane dotąd „opisanie” jest chyba bardzo ważne i mówi wiele o stosunku Różewicza do teatru, do reżysera i do samego siebie.

Pisze on tam, że w (zamierzonej) sztuce *Straż porządkowa*: „występuje dowolna ilość osób, autor powołuje je do życia, ale nie odpowiada za ich losy, ani działalność. Obecność tych osób na scenie jest tylko prawdopodobnie konieczna. Stała w tym przedstawieniu jest tylko Straż porządkowa (...) Straż porządkowa posiada — prawdopodobnie — wizję całości (...) interweniuje konsekwentnie na rzecz normalnego rozwoju dramatu. *Straż* jest inspirowana przez autora a częściowo przez jego alter ego. Gdyby nie interwencje Straży porząd-

Pelasia



kowej cała rzecz mogłaby się zmienić w zwykły realny bałagan albo jakiś «teatr absurdu».

To niezwykle pomysł. *Straż porządkową* można by wręcz już grać — biorąc za podstawę widowiska samo „opisanie dramaturgii”. Można cały spektakl zaimprovizować, „napisać go na scenie”, stworzyć kolektywnie, ale i tak każde pojawienie się, każda interwencja Straży będzie szła na karb autora...

W opisanu *Straży* jest idea zupełnie odwrotna niż *Przyroście naturalnym*. Autor podsuwa tu też temat inscenizatorowi, ale nie po to żeby dać mu pełną swobodę, ale po to, żeby go zniewolić. Różewicz nie ucieka tu od teatru — w czysty opis, ani w monolog — w adramatyczną literaturę. Wprost przeciwnie — wchodzi na scenę, wchodzi na nią z pozycji siły — z pozycji dramaturga. Dramaturga, który nie dał się zmienić w małpę ani zagrzebać pod nagrobkiem, ani udawać błazna.

Jan Kłossowicz

KONCERT ŻYCZEN

Chodzę po domu na czworakach
na palcach chowam się po kątach
udaję starą salopkę
miotkę do zamiatania

nie rzucam się w oczy w ten sposób
uśmiecham się do wszystkich
nawet do klamki słucham kroków

kiedyś wsadziłam palec do garnuszka
z miodem
odezwały się głosy trąb
sąd ostateczny
mdli mnie
z miłości
przedmioty mają zęby i pazury

ta szafa co stoi otwarta
to mamusia wasza i babcia
to krzesło
które przestawiają z kąta w kąt
to też babcia

Kochanej mamuni i babuni
w dniu sto pierwszych urodzin
dwustu lat życzą życia
syn synowe i wnuki

Indel



Opowiadanie babuni z kraju Chreścijan'skiego

Hermafrodyt



Poemat patetyczny

Opluli poetę
przez wieki będą
wycierali ziemię i gwiazdy
przez wieki
będą wycierali własne twarze

Poeta żywcem pogrzebany
jest jak podziemna rzeka
przechowuje w sobie
twarze imiona
nadzieję
ojczyznę

Poeta okłamany
słyszy głos
słyszy swój głos
rozgląda się
jak człowiek w nocy
obudzony

Lecz kłamstwo poety
jest wielojęzyczne
i ogromne
jak wieża Babel
jest monstrualne
i nie umiera

1 Poeta Wypchany

Siedzi na skale ulepionej z tygodników literackich. Siedzi nieruchomy. Jego wspinała głowa z ostrym dziobem i szklanym okiem budzi szacunek i zmusza do dystansu. Szpony jego rozdzierają głupich i złośliwych kolegów po piórze. Znaćcie to zdjęcie. Po niebie płyną literackie chmury, po ziemi pełzają w swoich odchodach głupcy. Tylko on jest niepokalany. Otwiera swe olbrzymie skrzydła i zaczyna krążyć po literackich przestworzach. Wzbija się coraz wyżej i wyżej. Cóż może być śmieszniejszego jak lot wypchanego orła. Z jego wnętrza syją się trociny.

2 Poeta Błazen

Poeta błazen to częste zjawisko. Nawet utalentowani i wybitni poeci lubią błaznować. Stąd tyle anegdotek o poecie, tyle wesołych wspomnień. Znają jego maski. Nie widzieli jego twarzy prawdziwej nawet po śmierci. Wspominają błazna. Poeta błazen między dwoma lichtarzami w czerwonej czapce na głowie. Za każdym poruszeniem dzwoniły dzwoneczki i zwabiały gapiów, wielbicieli i wrogów. Ale kiedy spotkał człowieka, zdjemował z głowy błazeńską czapkę. Było zupełnie cicho przy stole, jego duże ręce leżały na ceracie. Ręce robotnika. Pochmurnie i ślepo wpatrywał się w siedzącego naprzeciw człowieka. W głębi zaczynał rodzic się trochę nieśmiały i trochę ironiczny uśmiech. Wtedy zamykał oczy.



3 *Poeta Drewno*

Poeta człowiek odkryty i bezbronny. Przyjmuje w siebie wszystkie pociski, nawet te wymierzone w innego. Jeszcze dalej, głębiej. Nie jest nawet męczennikiem, nie jest tym poranionym ciałem. W świecie współczesnym jest tylko drzewem, do którego przywiązano ciało innego człowieka. Strzały przebijają ciało i ich ostre groty wchodzą w drewno. Drewno może tylko dźwigać i milczeć. Takie zmiany zaszły w ciągu wieków. Ze wspaniałego drzewa, które było mieszkaniem pieśni i które mówiło do człowieka: „Gościu, siądź pod mym liściem, a odpoczyń sobie“, zostały suche drewna szubienicy. To drzewo, odarte z kory, przemienione w pal i wbite we wnętrze ziemi, dźwiga na sobie cierpiącego człowieka, który o tym nie wie i myśli, że jest sam.

WŚRÓD WIELU ZAJĘĆ

Wśród wielu zajęć
bardzo pilnych
zapomniałem o tym
że również trzeba
umierać

Lekkomyślny
zaniedbałem ten obowiązek
lub wypełniałem go
powierzchownie

od jutra
wszystko się zmieni

zacznę umierać starannie
mądrze optymistycznie
bez straty czasu

*W drodze
Poety
i pociągu osobowego*

Dziewczyna



Nie wie
jaki będzie jego ostatni wiersz
i
jaki będzie pierwszy dzień
na świecie bez poezji

pewnie będzie padał deszcz
w teatrze będą grali Szekspira
na obiad będzie zupa pomidorowa

albo na obiad będzie rosół z makaronem
w teatrze będą grali Szekspira
będzie padał deszcz

muzy nie dały mu gwarancji
że z ostatnim tchnieniem
wypowie coś budującego
jasnego
więcej światła i tak dalej

prawdopodobnie
odejdzie
tak
jak odchodzi opóźniony
pociąg osobowy
z Radomska do Paryża
przez Zebrzydowice

Kierownik nadzoru artystycznego
JANINA KĘSTOWICZ

Asystenci reżysera
ADEL CHAHINE
HENRYK IZYDOR ROGACKI
ZDZISŁAW WARDEJN

Asystent scenografa
IRENA BURKE

Konsultant muzyczny
JANUSZ JĘDRZEJCZAK

Inspicjent
RYSZARD SZCZYCIŃSKI

Suffer
JANINA BIERNACKA

Kierownik Biura Obsługi Widzów
MIECZYSLAW LEWICKI

Kierownik techniczny
JANUSZ CIARKOWSKI

Brygadier sceny
HENRYK ALBINOWSKI

Kierownicy pracowni perukarskich
HALINA SZYMAŃSKA
EDWARD ŚWIĘTOCHOWSKI

Światło
NIKODEM STĘPNIEWSKI

Kostiumy wykonane pod kierownictwem
WIKTORII JĘDRZEJEWSKIEJ
WINCENTEGO WTULICHA

Kierownik pracowni malarskiej
STANISŁAW MIGDAŁ

Kierownik pracowni modelatorskiej
JANUSZ CIARKOWSKI

Kierownik pracowni szewskiej
ANTONI WICHLIŃSKI

Kierownik pracowni tapicerskiej
EUGENIUSZ NOWAK

Kierownik pracowni stolarskiej
JÓZEF GRZELAK

Kierownik pracowni ślusarskiej
JÓZEF FILIPOWICZ

Efekty akustyczne
CZESŁAW SZYDZIAK

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

Opracowanie graficzne
Zenon Januszewski



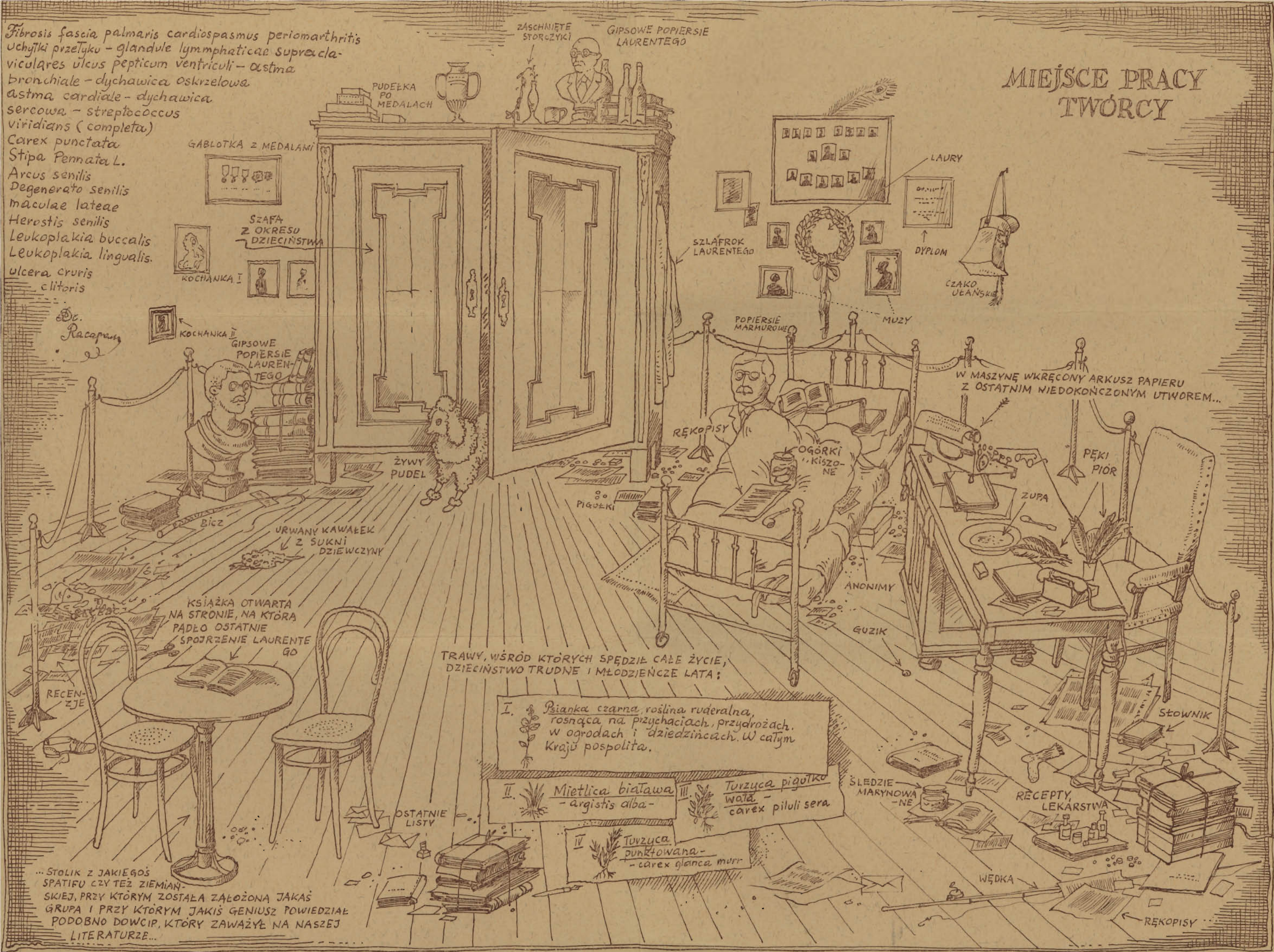
Zo zbiorów
Rudolfa Gołbiewskiego

Cena zł 3.50

WZGraf. Zam. 166. A-9.

Fibrosis fascia palmaris cardiospasmus periomarthrits
 uchyłki przetyku - glandule lymphaticae supraclaviculares
 ulcus pepticum ventriculi - astma bronchiale - dychawica oskrzelowa
 astma cardiale - dychawica sercowa - streptococcus viridians (completa)
 Carex punctata Stipa Pennata L.
 Arcus senilis Degenerato senilis maculae lateae
 Herostis senilis Leukoplakia buccalis
 Leukoplakia lingualis. ulcera cruris clitoris

MIEJSCE PRACY TWÓRCY



GABLOTKA Z MEDALAMI

SZAFKA Z OKRESU DZIECIŃSTWA

KOCHANKA I

KOCHANKA II

GIPSOWE POPIERSIE LAURENTEGO

ŻYWY PUDEŁ

KSIAZKA OTWARTA NA STRONIE, NA KTÓRA PADŁO OSTATNIE SPOJRZENIE LAURENTEGO

TRAWY, WŚRÓD KTÓRYCH SPĘDZIŁ CAŁE ŻYCIE, DZIECIŃSTWO TRUDNE I MŁODZIENECZE LATA:

- I. *Psianka czarna*, roślina ruderalna, rosnąca na przychodach, przydrożach, w ogrodach i dziedzińcach. W całym kraju pospolita.
- II. *Mietlica biaława* - *argistis alba*
- III. *Turzycza pigotkowa* wata - *carex piluli sera*
- IV. *Turzycza punktowana* - *carex glanca murr*

... STOLIK Z JAKIEGOS SPATIFU CZY TEZ ZIEMIANSKIEJ, PRZY KTÓRYM ZOSTAŁA ZAŁOŻONA JAKAS GRUPA I PRZY KTÓRYM JAKIS GENIUSZ POWIEDZIAŁ PODOBNO DOWCIP, KTÓRY ZAWAŻYŁ NA NASZEJ LITERATURZE...

ZASCHNIĘTE STORCZYKI GIPSOWE POPIERSIE LAURENTEGO

PUDEŁKA PO MEDALACH

SZŁAFROK LAURENTEGO

POPIERSIE MARMUROWE

REKOPISY

OGÓRKI KISZONE

PIGÓWKI

ANONIMY

GUZIK

W MASZYNĘ WKRĘCONY ARKUSZ PAPIERU Z OSTATNIM NIEDOKOŃCZONYM UTWOREM...

PEKI PIÓR

ZUPA

SŁOWNIK

SŁEDZIE MARYNOWANE

RECEPTY LEKARSTWA

WĘDKA

REKOPISY

LAURY

DYPLOM

CZAKO JEŃSKIE

MUZY

Na uroczystej akademii pięćdziesięciolecia pracy twórczej dziewczyna deklamowała jeden z młodzieńczych wierszy Nestora poetów. Był to wiersz o łące i o snach. Na łące słońce przebrzmiałych ech, śmiech ech, na łące słońce przebrzmiałych ech. Dziewczyna była piękna, miała popielate włosy. Sarnie nogi. W muszli ucha szmaragdowy okrągły klips. Myślał patrząc na nią, że chciałby teraz leżeć na łące z tą dziewczyną. Zamknął oczy. Raziło go sztuczne światło. Co jakiś czas rozdzierały powietrze błyskawice fleszów.

Na łące słońce przebrzmiałych ech nosiło w sobie prześmiany śmiech. Pies zdechł. Tutaj w sali było gorąco i duszno. Nie otwierano okien, żeby stłumić odgłosy ulicy. Te rymy, rymy. Ech — Lech — śmiech — mech — śmiech — zdech. Siostra kazała mu włożyć wełniane podkoszulek i długie kalessony. Teraz parzyła go ta ciepła bielizna. Przez całą godzinę słuchał o sobie i o swojej pracy. Wymieniano tytuły, nagrody, nazwiska. Na sali nie było ani jednego uczestnika jego młodości poetyckiej. Wymarły sławy, wygasły spory, rozpadły się szkoły.

Siedział na fotelu i słuchał bez zainteresowania przemówień. Ludzie, którzy go tu czcili i fetowali, byli mu prawie nie znani. Chciałbym przycisnąć moją twarz do jej twarzy, piersi, do chłodnych gładkich ud, chciałbym płynąć, odpłynąć w wieczność z twarzą przyciśniętą do tych zwartych ud. To jedyna łódź, w której mogę bez strachu przepłynąć na tamten brzeg. Widnokrąg rozpadł się, rozpływał w łagodnym świetle. Usłyszał gromkie słowa jakiegoś dziarskiego „kolegi po piórze”, który chwalił jego żywotność i niezniszczalną moc twórczą. Przypomniał sobie, że przed dziesięciu laty stał z tym cymbałem brzmącym przy trumnie rudej Wielkiej Pisarki i myślał o tym, kto też będzie stał na warcie przy jego trumnie. Pewnie ten cymbał. Uśmiechnął się do dziewczyny. Dziewczyna miała promienne oczy. Wypełnione były światłem życia. Uśmiechały się do wszystkich. Skończyła. Ukłoniła się. Stary człowiek wyciągnął do niej rękę, w której trzymał różę. Otrzymał w tym dniu wieńce, kosze kwiatów, bukiety i wiązanki. Szeleścił przezroczystry celofan i ten szelest bardzo go irytował. Dziewczyna podeszła do niego i pochyliła się. Zbliżała swoją twarz do jego twarzy. Zebrani bili brawo. Uśmiechali się życzliwie. Ktoś ziewał nie zasłaniając sobie ust. Poczul koło ucha na policzku ciepły oddech i dotknięcie uchylonych warg. „Jesteś piękna” — powiedział tak cicho, że nawet dziewczyna nie dosłyszała tych słów. Umrę już niedługo i to nie ma znaczenia. Doczekałem takich czasów, że śmierć człowieka nie ma znaczenia. Szybko trzeba chować ludzi. Czas! nie ma czasu na ceremonie. Orszak pogrzebowy przyspiesza kroku. Z trumną biegną klusem. Śmierć została po prostu poklepana po tył-

ku i straciła majestat. Ale i z życiem sprawa jest jakaś niejasna. To jest ostatnia chwila. W tej chwili mógłbym zrobić jeszcze jakiś kawał, z którym wszedłbym do historii. Co można zrobić? Tutaj na tej sali. Wstać i pokazać wszystkim język. Ten język, który trzymam teraz za zębami. Pokazać język na tej sali wśród kwiatów i luster. Sobie? Mam w kieszeni pięć kartek z przemówieniami, które odczytałem. Pełne godności, wdzięczności, majestatu i pogody. Nigdy na nic się już nie odważę. Siostra kazała mi włożyć te grube gacie i włożyłem, choć wiedziałem, że się w nich ugotuję. Gapią się na mnie jak na małpę w klatce. Telegramy, róże, wstęgi, a okna nie ma kto otworzyć. Ciekawe, czy tym paniom nie jest gorąco. Ludzie za małą wagę przywiązują do drobiazgów. A przecież mucha w zupie to też drobiazg. Ja zawsze przywijałem największą wagę do drobiazgów. Jeszcze ostatniego wieczora, który spędziłem z rodziną... Usłyszał nagle dźwięczny patetyczny głos Wielkiego Aktora:

*Niezwykłym i nie lada piórem opatrzony
Polecę precz — poeta, ze dwojój złożony
Natury; ani ja już przebywać na ziemi
Więcej będę, a większy nad zazdrość, ludnemi
Miasty wzgardzę... on w równym szczęściu urodzony.
On ja, jako mię zowiesz, wielce ulubiony
Mój Myszkowski, nie umrę ani mię czarnymi
Styks niewesoła zamknie odnogami swymi...*

Zawsze przywijałem największą wagę do drobiazgów, ostatniego wieczora znalazłem w kącie mojego pokoju pajęczynę. Właściwie pajęczynę zobaczyłem już przed tygodniem, ale milczałem. Chciałem się przekonać, czy znajdzie się choć jedna osoba, która zwróci uwagę, że w kącie mojego pokoju jest pajęczyna. Kiedy wstawałem wcześniej rano, pierwszą rzeczą, którą widziałem, była pajęczyna. W południe słońce oświetlało ją ostro, za oknem skwierczały wróble. „To nie jest dom mieszkalny — mówiłem do siebie — to jest poczekalnia, magazyn, szopa, szopa, szopa opuszczona, szopa — podniecałem się. — To nie poczekalnia, ale obora, chlew” — to słowo powtarzałem nieskończoną ilość razy, powtarzałem dobitnie, wreszcie wrzeszczałem. Oczywiście w sobie. Bo ja wszystko ukrywam w sobie, biorę w siebie. Na zewnątrz uśmiechnę się, pomilczę, bąknę, ale tak niewyraźnie, że nikt mnie nie może zrozumieć. A na pytania nie odpowiadam. W domu właściwie było czysto. Ale ta pajęczyna była dla mnie dowodem, że dom jest opuszczony przez wszystkich mieszkańców i mój pokój, i ja. Pajęczyna była dowodem, że dom nasz nie istnieje. Wielki Aktor mówił pompatycznym nieznośnym głosem moją ulubioną zwrotkę:

*Już mi skóra chropawa padnie na goleni,
Już mi w ptaka białego wierzch się głowy mieni,
Po palcach wszędy nowe piórka się puszczaają,
A z ramion sążniste skrzydła wyrastają...*

Nigdy na nic się już nie odważę. Umarłem dawno. Żyłem pośmiertnie. Bez twarzy. Pamiętam, że bez przerwy pisałem. Mówiono wtedy o cudownym rozmnożeniu talentu. A to był sztuczny period. Zostałem oszukany przez pochlebców. Ta krew, która płynęła, była cudza. Ja tylko wydałem z siebie obrazy i słowa. Resztki wydlubowane ze sztucznych zębów wiecznym piórem. Nie zwykłym i nie lada piórem opatrzony polecę precz... Czemu tu wszyscy tyle gadają. A gdzie jest cisza. Minuta ciszy dla mnie. Nie, muszą gadać. I tak wszystko się wymieszają. Przychodzili młodzi. Był czas, że nabierali mnie na swój wdzięk, entuzjazm, na pretensjonalną, źle przetrwoną przez poezję filozofię, na ułomność swoich utworów, która zawsze była dla mnie bardziej interesująca od doskonałości starszych epigonów. Były to oczywiście nieśmiertelne głupstwa. Wiersze. Przychodzili jeszcze teraz. Młodzi poeci. Ale przecież to robaki w zgniłym owocu. Trzeba było sam owoc wyrzucić na śmietnik. To nie owoc na drzewie. Drzewo bez korzeni. Te wiersze nie były zresztą gorsze od tych, jakie pisywali młodzi przed stu laty. Tylko że cywilizacja była już trupem. Jeszcze moje pokolenie rozmnażało się i tworzyło o organizmie żywym. Był to organizm chory, częściowo sparaliżowany, ale żywy. A oni, ci biedni, zagnieździli się w tym monstrualnym kadawerze i zaczynają pisać jakieś sonety. Organizm się rozkłada. Może o tym powiedzieć? Powiedzieć to na tej akademii ku mojej czci... Czy nikt nie ma świadomości, w jakich to obrzędach bierzemy udział? Przecież my już żyjemy w czymś nowym. A ci nasi młodzi poeci trzymają się rozpaczliwie literackiego trupa. Ślepi jak młode szczenięta. Nie mają ani siły, ani odwagi, aby spojrzeć prawdzie w oczy. A tak tłumaczyłem, tak prosiłem. Mówiłem, że będzie gorąco. Zawsze tak pała jak w piekle. No i wyszykowała mnie. A ten łajdak co tu robi? Ten ma miedziane czoło. Też pisze wiersze, też poeta. „Andziu, nie rusz tego kwiatka, róża kole — rzekła matka. — Córka matki nie słuchała, ukłoniła się i płakała.” Trzeba już iść do domu. Wstanę i pójdę. Zaraz wstanę i pójdę. Pokażę język. Nic nie pokażę. Nigdzie nie pójdę. Na nic nie czekam. „Panie i panowie, przyjaciele szanowni zgromadzeni, panie ministrze, obywatel, bracia i siostry, eminencjo, ekscelencjo... Teraz odczytam wam, kochani, nigdzie nie publikowany najnowszy wiersz.” A co ta świnią tu robi?